



Fallout EQUESTRIA PROJECT HORIZONS

Fallout Equestria: Project Horizons – Rozdział 11

Autor: Somber

Tłumaczenie&Korekta: Kingofhills, Greenscratch, Bodzio

Korekta i pomoc ogólna: Kinro

Rozdział 11: Spokój

“Słodka Celestio, ona jest pijana!”

Czerń. Wieczna. Bezwzględna. Nieustępliwa.

I wtedy stała się światłość.

Obudziłam się, leżąc nago na materacu w całkowicie obcym pokoju. Był ciasny i obskórny oraz pachniał sianem i parafiną. – Spokojnie – powiedział ogier siedzący obok. – Nie panikuj. – Wydawało mi się to niewiarygodnie głupie, bo uważałam że to idealny moment, by zacząć panikować. Otworzyłam oczy; wewnątrz wyglądało na jakąś piwnicę, oświetloną kilkoma świecami i przystrojoną w zwykłym stylu Pustkowi. Natychmiast kopnęłam ogiera siedzącego obok.

Wciąż miałam swojego PipBucka, więc weszłam w tryb S.A.T.S. i zamarkowałam trzy kinetyczne pociski w jego plecy. Może to przez wszystkie choroby, rany i rozczarowania, jakie wycierpiałam, ale z jakiegoś powodu zawahałam się i w momencie, gdy czas zatrzymał się, zobaczyłam mojego porywacza w lepszym świetle. Nie wiedziałam, czego dokładnie się spodziewać. Wyglodniałego bandyty? Opastego i pokrytego błablami łowcy nagród? Zdegradowanego Deusa? Dobra... Nie, na pewno nie tego ostatniego.

W rzeczywistości wyglądał zwyczajnie. Jego czarną sierść pokrywały liczne blizny na całej długości jego ciała. Grzywę miał brudnobiałą, zresztą tak, jak i ogon. Nie miał na sobie pancerza, jak i również nie dostrzegłam broni. W istocie PipBuck mówił, że jest nieuzbrojony, kolor znacznika był żółty. Jego znaczek przedstawiał zarys pegaza z uniesionymi w górę kopytami i szeroko rozłożonymi skrzydłami, otoczonego jasnymi promieniami światła. Jeszcze trochę i bym rozwalila łeb zupełnie nieuzbrojonego i nienastawionego wroga ogiera. Wręcz mogłam usłyszeć tego kościanego sukinsyna, tasującego te swoje karty gdzieś w głębi mojego umysłu.

Kiedy czas znów zaczął płynąć, opadłam na siedzenie i wzięłam drżący oddech. – Dokładnie...

Nie panikować. Kto jest spanikowany? Ja? Pfff... Zabijam potwory i łowców niewolników. Nie ma tu żadnej paniki. – Uśmiechnęłam się jak idiotka: spojrzał na mnie z definitywną troską. Wzięłam głęboki oddech i wyciągnęłam w jego kierunku kopyto. – Nazywam się Blackjack. Miło mi cię poznać.

– Priest – odparł. – Mnie również.

Priest, heh. Jakie były szanse na to, że jest religijny?

– Więc... Może kilka standardowych pytań, które zadaję, gdy budzę się w obcym łóżku zaraz obok jakiegoś kucyka. – powiedziałam to, po czym odchrząknęłam. – Gdzie jestem? Gdzie są moi przyjaciele? Gdzie są moje ciuchy? Gdzie jest łazienka? Czy byłam dobra? Czy moja mama dowie się o wszystkim? – Potem zamrugałam i dodałam jedno. – I dlaczego czuję się... lepiej? – Wciąż byłam poobijana i posiniaczona, ale ból na poziomie "Celestii pieprzącej mój kręgosłup za pomocą wiertarki" zniknął.

Ku mej uldze, uśmiechnął się. Może nie roześmiał, ale uśmiechnął. Jeśli znów spotkałabym innego stoickiego ogiera, strzeliłabym w niego dla zasady. Może nie zabiłabym go, ale dostałby kulkę! – To już właściwie cała lista pytań. Często ci się to zdarza?

– Oh, po ostatnich kilku dniach... Tak. To już właściwie stało się rutyną. – odparłam.

– Wszystko w porządku. Pierwsze pytanie: jesteś w Chapel. – Jego usta wykrzywiły się w delikatnym uśmiechu. – Ale to już oczywiście wiesz dzięki swojemu PipBuckowi – *Wiedziałam?! Kurwa!* Spróbowałam nonszalancko spojrzeć w dół, na ekran. – Naturalnie, testujesz moją szczerość, prawda?

– Oczywiście, właśnie tak – powiedziałam miękko, przed spojrzeniem na urządzenie do nawigacji. – Rzeczywiście... – *O, Celestio! W jaki sposób się tutaj dostałam? Chapel było po drugiej stronie rzeki na południowy zachód od Hoofingtonu! To powinno zająć co najmniej dwa dni na piechotę!* – Jak długo byłam nieprzytomna?

– Kocham odpowiadać na pytania, ale jeśli dalej tak będzie, to nigdy nie wyjdiesz z tego łóżka. – powiedział z uniesioną brwią. – Nie wiem zresztą jak ty, ale ja jestem głodny jak wilk. – Musiałam przyznać, że ja też byłam... powiedziałabym nawet, że wygłodniała. Idąc przede mną, otworzył drzwi i wyszedł prosto w mżawkę. Czy w Hoofingtonie kiedykolwiek przestawało padać?

Chapel składało się z czterech lub pięciu budynków otoczonych szpiczastym, drewnianym płotem. Każdy z domów zawierał w sobie piętrowe łóżka, okryte pościelą i płóciennymi kołdrami. Centrum uwagi zdawała się być poczta po przeciwnej stronie ulicy, do której aktualnie szło kilka młodych kłaczki. Prawdę mówiąc, również kucyki zajmujące się hodowlą warzyw były młode. Prawdę mówiąc... nie licząc Priesta, wokoło nie było żadnego dorosłego. – No, dobra... – Wtedy zauważyłam powiewającą delikatnie, poszarpaną, niebieską flagę z białą kłaczką, stojącą dęba. – Ah! Zdobywcy! To tutaj żyją, prawda? – skrzywiłam się. – No i kolejne pytanie do listy...

– Musisz mieć już całkiem sporo pytań – odparł ogier, chichocząc. *Nawet nie masz pojęcia.* – Co do twojego drugiego pytania, tego dotyczącego twoich przyjaciół... zostałaś znaleziona sama. Obawiam się, że nie wiemy, gdzie oni się znajdują.

Dopiero to zwróciło moją uwagę. – Co? Oni... – poczułam się... nie jestem pewna, jak. Tak, jakby

nagle serce całkowicie znikło mi z klatki piersiowej. – O, kurw... ee... kurczę pieczone – poprawiłam się szybko, zerkając na jednoroźca z uśmiechem. Taak, to potrafiłam udawać wręcz doskonale. Miałam nadzieję, że ukryłam tym samym choć trochę faktyczny poziom mojego zaniepokojenia.

Jego twarz z ucieszonej przerodziła się w zatroskaną. – Przykro mi. Kiedy Zdobywcy cię znaleźli, byłaś nieprzytomna i sama. Na szczęście rozpoznali twój mundur ochrony i przynieśli tutaj. Twoja naszywka na boku upewniła ich w tej decyzji; niewiele kucyków nosi w tych czasach naszywki naszej grupy. Niestety, twój ekwipunek był dla nich zbyt ciężki; zamiast zabrać go ze sobą, musieli schować go w pobliżu. Więc w sprawie twoich ciuchów, są tam, gdzie cię znalezione, niedaleko torów. – ogier uniósł brew. – I czy naprawdę musisz iść do toalety?

– Nie. Nie musisz też odpowiadać na pytania o byciu dobrą czy o moją mamę. Idiotyczne pytania i w ogóle... – mruknęłam w odpowiedzi. Moi przyjaciele... znikli. Czy byli martwi? *Nie no, nawet tak nie myśl, idiotko.* W głowie czułam chaos i pustkę, jakbym patrzyła prosto w niebo. I wtedy siadłam na zadzie. – Kurwa. Znaczy... ehh.. przepraszam. Chyba nie powinno się przeklinać w pobliżu religijnych osób. – przy tej okazji muszę przyznać, że nie lubiłam zbytnio stajennej kapłanki. Babka łąziła po schronie i niszczyła innym zabawę jeszcze gorzej, niż robiły to ochroniarki. Ale mimo to szanowałam ją. W końcu niełatwo było odnosić się do zmartwień kilku setek neurotycznych kłaczy.

– Glory... już zaczynała się przede mną otwierać. Rozmawiać... – nie chciało mi się płakać. Nie czułam złości. Zamiast jakichkolwiek emocji, w głębi mnie zionęła teraz pustka. – Powiedziała mi o swoim nauczycielu. I o tym, jak to obmyśliła, co jest przyczyną powstania kogoś takiego, jak łupieżcy. I... wiele innych rzeczy. – Mówiłam, a Priest tylko ze zrozumieniem posłał mi ciepły uśmiech.

A P-21? Nazwałam go szaleńcem! Powiedziałam, że jest mordercą przez zorganizowanie tej egzekucji na nadzorczy kopalni. Był zły. Wręcz wkurzony. Zraniłam go tym. Zraniłam go... i chyba nie przeprosiłam. No i zostały jeszcze Sekashi i jej młoda kłaczka. – Muszę ich odnaleźć. Muszę. Co się stało? – spytałam, stając z powrotem na kopyta i patrząc prosto na niego.

– Zdobywcy znaleźli cię przy jakichś torach na północ stąd. Leżałaś tam sama, a twoje rzeczy były rozrzucone po okolicy. Obejrzałam dokładnie twoje rany, ale wydaje mi się, że głównym winowajcą twojego stanu było... to – powiedział, wyciągając za pomocą zębów plastikową torebkę ze swoich juk. Wewnątrz, delikatnym światłem, świeciło Wspomnienie. Spróbowałam sięgnąć po nie magią, ale wtedy ogier odsunął je kawałek i wymamrotał z zębami wciąż na reklamówce, – Nhe! – Potem upuścił ją i wylądowała tuż pod jego kopytami. – To pułapka.

– Jak można zrobić ze Wspomnienia... *pułapkę*?

– Ostrożnie. Kiedy wojna wisiała na włosku, wspomnienia nie były już bezpiecznym i ogólnodostępnym środkiem przekazu. Zebry miały swoich popieczników wśród jednoroźców, toteż Ministerstwo Morale wraz z Ministerstwem Pokoju wynalazły sposób na zahasłowanie potencjalnie ważnych czy niebezpiecznych wspomnień. Jednak proces ten był tak trudny, że przeprowadzano go jedynie przy tych kluczowych dla wyniku wojny kul. A że zebry aktywnie prowadziły działalność konspiracyjną, technika blokowania okazała się niemalże niezbędna, zwłaszcza w tym rejonie. To miasto przechowuje stanowczo za dużo sekretów... – powiedział, a następnie spojrzał na kulkę, tykając ją uprzednio kopytem. – To Wspomnienie jest zahasłowane. By się połączyć, w chwili nawiązywania łączności potrzebujesz jakiejś myśli, pomysłu, czy nawet imienia.

– A jeśli nie masz hasła? – zapytałam, patrząc na kulę tak, jakby była bombą.

Pokręcił głową i westchnął. – Zazwyczaj nic. Ale jeśli spróbujesz wymusić kontakt, może spowodować, że stracisz przytomność, zamknąc cię w nieskończonym koszmarze, albo nawet zabić.

Że, kurwa, co? – Zabić mnie? Mówisz poważnie? Jakim cudem wspomnienie może mnie zabić?

– Twój umysł znajduje się w mózgu, a od niego zaś zależna jest praca twojego serca... Nigdy nie spotkałem się z taką kulą, ale słyszałem o nich.

– Dobra. W porządku... nigdy więcej wspomnień – mruknęłam, odkopując od siebie małą torbę.

– Nie mów tak – odpowiedział z lekkim grymasem, podchodząc do torby i wracając z nią do mnie. Wyglądał na... smutnego. – Proszę, nie mów tak. Wspomnienia to coś więcej niż przeżycia. To lekcje. Uczą nas tego, jak inni przez to wszystko przeszli – przechylili głowę. – Czy jest sens przechodzić przez to całe cierpienie dwa razy? Niczego nie nauczyłaś się z żadnej kuli?

Westchnęłam i spojrzałam w dal. Czy kiedykolwiek zobaczyłabym gwiazdy swoimi własnymi oczami? Te małe, piękne perełki na tle całego... tego... czarnego? Czy poznałabym miłość, jeśli nie zobaczyłabym, jak ów włamuje się do serca innej klaczy? Albo czy zobaczyłabym odwagę i męstwo kucyków, które już od dawna nie żyją? – No, chyba...

– Przewrotny zawsze ubezpieczony – powiedział spokojnie. – Na szczęście znam kilka zaklęć, które pozwoliły mi odłączyć cię od kuli. Wykorzystałem również twoją utratę przytomności, by uleczyć cię za pomocą magii.

Zaraz... To była magia? – Grzmociłam magiczne mikstury lecznicze na lewo i prawo, i nigdy się tak nie czułam! – No dobra, to nie do końca prawda. Talizman leczniczy odwalił kawał dobrej roboty. – Jak długo byłam nieprzytomna? Czuję się jak bym spała od tygodnia – poza bólem między łopatkami, czułam się gotowa, by zacząć szukać moich przyjaciół.

– Kilka godzin. Więc nie wiesz o Enerwacji? – zapytał, lewitując dwie mikstury lecznicze ze swoich juków. Jedna była typowo, wodniście purpurowa, druga zaś jaskrawa niczym mokra farba.

– To jedno z dziesięciu słów, których nigdy nie używałam w stajni – odpowiedziałam, po czym wskazałam kopytem jasno purpurową fiolkę. – Do czego służy ta? Super–mega–mikstura lecznicza? – *może się dowiem jak znajdę P–21...*

Roześmiał się. – Względnie... możliwe, ale nie zmienia to faktu, że to są te same mikstury. Bledsza jest po prostu tydzień starsza.

– Zaczekaj... więc co się z nią stało? To coś z tą Enerwacją? – zgadywałam i poczułam się zadowolona, kiedy skinął głową. Cud nad cudy, czyżbym mogła się jeszcze czegoś nauczyć?

– W czasie wojny przeprowadzano wiele projektów i badań. Jeszcze przed upadkiem bomb, powierzchnię Equestrii zaczęły nękać różne dziwne zjawiska magiczne i energetyczne. Głęboko we wnętrzu Hoofingtońskiej ziemi od dawna jest skażenie. Pola Enerwacji wysysają życie i magię z każdej

żywej istoty w promieniu dziesiątek kilometrów od serca miasta. W kilku miejscach pola te są tak silne, że są w stanie nawet zabić kuczka. Niczego nie zauważysz, tylko... zwyczajnie zaczniesz umierać. Najlepszą obroną przeciwko temu jest jak najszybsza ucieczka – dodał, szybko widząc ekspresję przerażenia na mojej twarzy. Śmierć od kul, oszalałych bandytów czy innych ogromnych robali to jedno, a teraz miałam jeszcze uważać na morderczą, niewidzialną magię?

– Czy mój PipBuck może to wykryć? Jest w tym jakiś licznik Enerwacji czy coś? – spytałam, machając mu urządzeniem przed twarzą.

– Nie. Ale z racji tego, iż Enerwacja niweluje efekty magii leczniczej, uważaj na stan swoich mikstur. Jeżeli zaczną blednąć i robić się przezroczyste, to oznacza, że Enerwacja już uczyniła je bezużytecznymi. Jeżeli zaczną przybierać inne kolory, zrobi się z niej chmura, albo zaczną śmierdzieć, uciekaj. I wywal miksturę – przez nią tylko poczujesz się, delikatnie mówiąc, słabo. Ostatnia rada: Jeżeli zaczniesz krwawić od kopyt do głów, uciekaj. Natychmiast.

– Czemu właściwie *ktokolwiek* tu żyje? – spytałam, spoglądając na strzeliste wieże Hoofingtonu. Dziwnie zakręcone, poczerńiałe struktury zdawały się zadawać to samo pytanie. Całości smaczku dodawało upiornie zielone światło z dolnych partii centrum. Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby te zniszczone budynki pały szczególną nienawiścią wobec wszystkich żywych istot w obrębie stu mil.

– A jak myślisz, dlaczego życie tutaj jest takie ciężkie? Prawie każdy, kto może odejść z okolic Hoofingtonu, odchodzi. Ci, którzy nie mogą, znajdują sobie najbezpieczniejsze zakątki, na jakie ich stać. Ale jest tu też wiele pokus: bronie, pancerze, zapomniane technologie, surowce... sekrety. Rzeczy, które najwidoczniej są warte poświęcenia życia. Niektórzy przychodzą tu, licząc na łut szczęścia. Potem się kaleczą w kopyto, nabawiają się infekcji i zastanawiają, czemu im mikstury nie działają. Silniejsi żerują na słabszych... a ziemia z dnia na dzień umiera coraz bardziej – powiedział, pochylając głowę. – Celestia nas chroni. Luna nas obroni.

Czyżby? Nie widziałam tego nigdy w swoim życiu. W 99-tce nasz hymn prawił, jak to Nadzorczyńni została wybrana przez samą Celestię, jak to powinniśmy w nią wierzyć. Podważanie zdania Nadzorczyńni było traktowane jak podważanie wyroku samej Księżniczki Słońca. Sama byłam świadkiem tego, do czego może doprowadzić takie ślepe podążanie za autorytetem.

– Po prostu... uhh. Po prostu nienawidzę odkrywania każdej złej rzeczy po kolei. Najpierw ta choroba łupieżców, potem magiczne promieniowanie... a teraz te wspomnienia–pułapki i niewykrywalne strefy śmierci. Hoofington powinien mieć jakąś instrukcję dla głabów, jak ja. Która powinna mieć ogromną czcionkę i jasne, kolorowe obrazki! – powiedziałam z przytupem kopyt. A potem zobaczyłam jego uśmiech. – No co?

* * *

– Czemu nie miałam tego tydzień temu? – mruknęłam do siebie, leżąc na materacu w budynku poczty. Przedemną leżała kopia "Poradnika przetrwania na pustkowiach: Edycji Hoofingtońskiej". "Niebezpieczeństwa podczas szabrowania!" "Co to za pipczący dźwięk? Roboty i ty." "Kto jest kim w Hoofie". To były informacje, które tak bardzo by mi się przydały jeszcze kilka dni temu, a które teraz były dostępne na wyciągnięcie kopyta. – Powinni to rozdawać przy każdym wyjściu ze Stajni, żeby jednorogi miały co czytać podczas wędrówek po Pustkowiach!

Chociaż chciałam odnaleźć P-21, Glory i Sekashi, Priest zauważył szybko, że moi przyjaciele wiedzieli, że będę szła w tę stronę. Jako, że Chapel było jedyną społecznością założoną blisko torów kolejowych, logicznym było założenie, że prędzej czy później tu dotrą. Gdybyśmy cały czas łazili po okolicy i szukali się nawzajem, nigdy byśmy się nie odnaleźli. W miarę jak byłam pochłonięta w lekturze, mówiłam mu po kolei, co się działo. Priest okazał się być wdzięcznym słuchaczem, konwersował ze mną o kilku ostatnich dniach... jednak jakiś wewnętrzny głos (podobny do P-21) podpowiadał, że to prawdopodobnie jakiś kanibal-pedofil, który też poświęcał swoich podopiecznych idolom w postaci umarłych księżniczek, Celestii i Luny. Niemożliwym wydawało się istnienie kogoś miłego i normalnego na Pustkowiach.

Zdobywcy okazali się być wyjątkowo zainteresowani moją osobą. Czemu leżałam obok torów? Czy byłam jakimś podróżującym po Pustkowiach supermutantolupieżcobandytą, strzelającym wybuchającymi laserami z oczu? Skąd pochodziłam? Co lubiłam bardziej: Bomby jabłkowe czy Ciastka Marchewkowe? Zabawa lalkami czy w policjantów i złodziei? Czy ja też straciłam moją mamę? Te i inne pytania zadawało mi około dwadzieścia różnych źrebiąt w budynku poczty, który teraz był po części recepcją, a po części pokojem hotelowym. Nie połamanie sobie nogi na różnych zabawkach, stworzonych lub zebranych przez młode kucyki, wymagało nie lada szczęścia i umiejętności; leżały wszędzie.

– A poświęciłabyś temu dziełu choć chwilę? – spytał, chichocząc cicho. – Z tego co mi wiadomo, przez większość tamtego czasu miałaś na głowie jednego z kucy apokalipsy. Osobiście wolałbym nie robić postoju na czytanie książki z Deus Exem za moją głową.

– A więc wiesz o Deusie? – spytałam, spoglądając na niego z ciekawością.

– Większość kucyków zna “Deusa Ex Machine”, czyli po zebrzemu “Boga z maszyny”. I tak, sam sobie nadał ten tytuł. Był już tutaj od... – jednorozec zmarszczył brwi, zastanowił się chwilę i po chwili kontynuował, – ...od tak dawna, jak tylko sięgam pamięcią. Jest Żniwiarzem nad Żniwiarzami. Bogiem bandytów. Numerem dwa na Arenie, zaraz po Big Daddym.

W czasopiśmie natychmiastowo znalazłam rubrykę na temat Żniwiarza Big Daddy’ego. Większą część artykułu stanowiło stare zdjęcie Hoofingtonskiego Stadionu Sportowego.

Żniwiarze: Twoi przyjaciele, albo...

Widzisz tego gościa? Nie, nie tego z pianą na pysku, to jest łupieżca. Nie tego z ładnymi, wybuchowymi obrazami, to łowca niewolników. No i też nie tego, który ci zabiera wszystkie rzeczy, to bandyta. Nieee... TEGO gościa. Kucyka, który wygląda tak zajebiście, tak groźnie, że prawie zabija cię samym spojrzeniem? To właśnie jest Żniwiarz.

Żniwiarze z Hoofingtonu pojawili się jeszcze przed powstaniem Pustkowi. Nazwę swojej grupy Big Daddy pożyzył od znanej drużyny Hoofballu Equestriańskiego z tego regionu. Jakimi kucykami są Żniwiarze? No cóż... przed upadkiem bomb, owa drużyna została odnotowana jako najbrutalniejsza, powodująca najwięcej obrażeń, fauli czy karnych w całej Equestriańskiej Lidze Hoofballu – i byli z tego dumni. Oczywiście nie chcą powiedzieć, że zabijają oni każdego, kogo spotkają, tylko tyle, że są w tym naprawdę dobrzy. Jedynym sposobem na zostanie Żniwiarzem jest pokonanie jednego z nich w walce kopytnej – ewentualnie pokonanie wielu innych kandydatów, co jest traktowane jako próba. To oznacza, że każdy, którego spotkasz, prawdopodobnie jest lepszy od tego, kogo pokonał. A to oznacza, że prawie

na pewno wszyscy w gangu są od ciebie o wiele, wiele twardsi.

Na swój dziwny sposób, Żniwiarze są 'gwiazdami' Hoofingtonu. Wiele kucyków ma swoich ulubieńców, takich jak Deus, Rampage czy Psychoshy, a w obrębie miasta często da się słyszeć dyskusje na temat ich stylów walk. Walki Żniwiarzy to jedna z niewielu form rozrywki, które są dostępne dla mieszkańców tego przekłętego miejsca. W każdym razie – jeśli napotkasz na takiego kucyka, bądź wobec niego miły, rób, co ci każe, i módl się, by był w dobrym humorze. Bo w innym razie, jeśli wkurzysz takiego kuca... sprowadzisz na siebie ból, którego nie da się opisać słowami.

Już miałam pytać, czy jebnięcie Żniwiarzowi z wielkiego, zamontowanego na suficie budynku działa można uznać za "wkurzenie" takiego kuca, kiedy jasnorożowa klaczka... wróc, żrebak... podszedł do nas. – Wybacz, Priestie, ale mamy kilkoro pielgrzymów zbliżających się do Chapel. – Przez jego Cutie Mark nagle zachciało mi się pić.

Priest za to wyglądał na zmartwionego wieściami. – Jak wielu, Sparkle–Cola?

– Troje. Żadnego w naszym wieku – odpowiedział młodzik.

– Dzięki Ci, Celestio, za drobne przysługi – powiedział ogier, wstając na swoje kopyta z ciężkim westchnieniem. A potem uśmiechnął się do mnie. – Wybacz... naprawdę powinienem się z nimi zobaczyć.

– Czy coś się stało? Mogę jakoś pomóc? – odparłam, również wstając.

W jego uśmiechu widoczny był głęboki smutek. – Zrobiłaś to przez samo zapytanie... nie. To moje brzemie. Ty zaś powinnaś czytać dalej. Im więcej wiesz, tym lepiej jesteś przygotowana – stwierdził, po czym wyszedł, z głową zwieszoną ku dołowi.

– Czy Priest nie powinien się cieszyć z obecności pielgrzymów? Znaczy, to chyba dobrze... prawda? – spytałam Sparkle–Colę. Żrebak z puszystą grzywą o kolorze wspomnianego napoju posłał mi tylko spojrzenie typu "Kucyki ze stajni zadają głupie pytania", a potem powrócił do swoich przyjaciół. Westchnąwszy, spojrzałam z powrotem na książkę i przewinęłam kilka kartek w poszukiwaniu... o, jest.

Chapel: niewielka społeczność położona na drodze krajowej Fillydelphia, położona tuż za Core'em. Uznawana za miejsce spoczynku dla strudzonych kucyków. Dom Hoofingtońskich Zdobywców [Zobacz str.56].

Przewracając kartki z powrotem na okładkę, zauważyłam imię autorki tuż pod obrazkiem kucej czaszki. – Dzięki, Ditzzy Doo – wymamrotałam sucho... a potem zamrugałam oczami. Na ścianie naprzeciw znajdował się wyblakły plakat, który wciąż był na swoim miejscu chyba tylko dzięki otaczającej go szklanej płytce. Zezowała na mnie z niego szara, blondgrzywa klacz z kilkoma kopertami w pyszczku. "Zgłoś się do Poczty Equestrii: Ditzzy Doo potrzebuje Twojej pomocy!" głosił napis pod spodem. Nie mogłam odeprzeć wrażenia, że klaczka pegaza z bańkami na zadku była niewiarygodnie wręcz urocza. To musiał być przypadek. Kucyki nie żyły na Pustkowiach przez dwieście lat, nie bez zostawiania potworami. To było zwyczajnie niemożliwe.

Otworzywszy ponownie książkę zaczęłam przeglądać wcześniejsze strony. Na początku był krótki dział traktujący o "Innych znanych miejscach na Pustkowiach", na który składało się parę akapitów tekstu

i poradzie nt. nabycia nie–Hoofingtońskiej edycji “Poradnika”, jeśli chcemy opuścić ten region. Większość z podpunktów pominęłam, zainteresował mnie jednak wpis o Canterlocie.

Niegdyś będący stolicą Equestrii, Canterlot i jego okolice powinny być teraz omijane przez każdego, kto nie jest ghulem Canterlockim bądź nie ma naprawdę dobrego powodu, by się tam dostać. Miasto nie zostało trafione żadną bombą, ale tutaj kończą się te dobre wiadomości. Zebry zdetonowały w samym sercu megaczar, który wyzwolił różową chmurę przepętnioną niezwykle wredną magią. Księżniczki Celestia i Luna były wtedy w mieście i stworzyły magiczną bańkę wokół niego, aby zatrzymać chmurę w środku. Prawdopodobnie dzięki temu połowa środkowej Equestrii została uratowana od losu stolicy. Niestety – i serdecznie przepraszam, jeżeli właśnie wyszedłeś ze stajni i do tej pory się nie nauczyłeś – Różowa Chmura, utrzymywana i potęgująca się z każdą chwilą wewnątrz magicznego bąbla była na tyle silna, by zabić nawet alikorny.

Choć wielu z nas wierzy, że Celestia i Luna żyją do tej pory pod inną postacią, ich ciała umarły właśnie w Canterlot. Po dziś dzień ruiny miasta wypełnione są zabójczą Chmurą, podobnie jak obszar pod aglomeracją, a ponadto wciąż występują tam zdziczałe ghule Canterlockie. Jeżeli nigdy wcześniej nie walczyłeś z takim ghulem, dobrze by było, gdyby taki stan rzeczy się utrzymał; są piekielnie trudne do zabicia i bardzo, ale to bardzo, niebezpieczne. Jeżeli naprawdę musisz odwiedzić to miasto, obawiam się, że nie istnieje poradnik w wersji dla tego regionu (Choć edycja ogólna zawiera o wiele więcej informacji na ten temat). Jest to spowodowane faktem, że do tej pory ruiny wciąż nie są do końca odkryte. Moja rada? Znajdź jakiegoś nieoszałałego, Canterlockiego ghulę–przewodnika. To jednak łatwe nie będzie.

Odchyliłam się nieco. Oczywiście nie sądziłam, że księżniczki wciąż żyją. Gdyby tak było, to... nie wiem... robiłyby coś. Pomagały. Gdyby żyły, to nie pozwoliłyby na powstanie Pustkowi... prawda? Z drugiej jednak strony ciężko było mi ogarnąć, że faktycznie nie ma ich wśród żywych; niby nie interesowałam się zbytnio historią czy religią w 99–tce, ale... były boginiami. Oczywiście jest, że ich fizyczna śmierć nie powstrzymała osób takich jak Priest... przez dłuższy czas po prostu siedziałam na zadzie, gapiąc się w przestrzeń. W końcu jednak ogarnęłam się i zaczęłam dalej przeglądać książkę. To, co wydarzyło się dwa stulecia temu, nie miało teraz zbytnio znaczenia. Poza tym, niezależnie od ich aktualnego stanu, najwidoczniej nie były w stanie nic poradzić na istnienie Pustkowi.

Wróciłam do sekcji “Miejsca bezpieczne i niebezpieczne”. Do pierwszej grupy zaliczały się Megamart, gdzie już byłam... Stockyard... Ironmare (Tylko w razie interesu wobec Strażników), Elysium, Flank (Tylko +18), Uniwersytet Hoofingtonu, Stadion (Na własne ryzyko!), Meatlocker... Paradise. Nieco rozbawił mnie fakt, że widniało ono zarówno w miejscach bezpiecznych, jak i niebezpiecznych. Poza tym, według autorki, Centrum Medyczne Fluttershy oraz PPRD były “pewnymi” miejscami do szukania fantów.

Większość miejsc niebezpiecznych było okraszonych ledwie nazwą i niczym więcej. Kilka z nich znałam, np. Pony Joe’s (Widocznie każdy przybytek tego typu przyciągał do siebie bandytów). Brimstone’s Fall też tam było. Zastanawiałam się, czy kiedyś niebezpieczne miejsca, w których będę, zamienią się w “te dobre”. Miałam na to wielką nadzieję. Ziemia Niczyja. Boneyard, które miało wysokie zagrożenie obecności zdziczałych ghuli. Gdybym wcześniej przeczytała ten poradnik, czy Scoodle wciąż by żyła? Dlatego, że bardziej uwierzyłabym książce niż jej?

Więcej było jednak miejsc, które dla mnie stanowiły ledwie zbitek liter. Rafineria Boom Inc., Góra Czarnego Kopyta, Muzeum i Centrum Kosmiczne im. Luny, Tamy Hoofingtońskie czy Kwatera Główna Robronco – żeby wymienić kilka z nich.

Jednak tym, co zaskoczyło mnie najbardziej, był dział zaznaczony jako "Core".

A więc chcesz udać się do Core'a, co? Myślisz, że weśліżniesz się do środka, zabierzesz jakąś odjechaną technologię, wyjdiesz i będziesz pływać w kapslach? W końcu to samo centrum miasta, prawda? Wciąż stoi całe. Musi tam być kupa niestworzonych cudów techniki! Cóż, tak zapewne jest.

A to dlatego, że każdy kucyk, który spróbował się tam dostać, jest martwy. Każdy. Są pewne miejsca w Equestrii, do których zwyczajnie się nie chodzi. Canterlot. Wrzosowiska. Splendid Valley. Nie idź, czytelniku, do tych miejsc. Są zbyt toksyczne, zbyt mocno skażone, lub zbyt napromieniowane, by można było tam żyć. Serce Hoofingtonu to jeszcze inna rzecz: to wszystkie te zagrożenia w jednym plus fakt, że to śmiertelna pułapka. Wiem, bo sama próbowałam się tam dostać. Dotarłam jedynie do muru i znam tylko jedną inną osobę, która może powiedzieć to samo. Zautomatyzowane wieżyczki magiczne prawie mnie zdeintegrowały, roboty prawie rozerwały na strzępy... gdybym nie rzuciła się do wody na małą kąpiel, skończyłabym jako kupka ghulego popiołu.

Zaś co do innych ghuli, które myślą, że radiacja jest problemem całej reszty: Są tam energie, które wam przypomną o waszej własnej śmierci. Czułam się, jakby coś wysysało mi... nie wiem. Mózg? Duszę? Taak, dokładnie tak. Oto niebezpieczeństwa Core'u. Więc nie idźcie. Jest o wiele, wiele więcej innych ciekawych i ekscytujących miejsc, które nie grożą Ci śmiercią przez samo znajdowanie się w nich. Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy o tym myślicie. Porzućcie te marzenia i wiedźcie spokojne, miłe życie.

Było to głupie, ale z jakiegoś powodu jej ostrzeżenie tylko wzmożyło moją chęć zwiedzenia tego miejsca. Zaczęłam się zastanawiać, czy istnieje jakiś sposób na unieszkodliwienie systemów obronnych. Może jakiś dobry snajper, jak ten z Maruderów Macintosh... albo gdyby udało mi się ściągnąć Działo... Ehh, co ze mną było nie tak? Sama magia tego miejsca była śmiertelna! Tylko chodziło o słówko "zakazane", które tak bardzo nęciło moje zmysły. "Zakazane? Nie dla naszej małej panny Blackjack!"

– Ugh. Znowu zachowuję się jak idiotka – jęknęłam cicho, wstając i energicznie potrząsając całym ciałem. – Tak się właśnie kończy czytanie. Przywołuje niezdrowe pomysły do głowy. – Zamknęłam książkę, po czym znów zerknęłam na plakat na ścianie. – "Kupka ghulego popiołu"... nie no, serio.

Pokłusowałam potem w stronę biura obsługi klienta, które w tym wypadku pełniło również funkcję sklepu. – Poproszę jedną bombę cukrową i Sparkle-Colę – zwróciłam się do młodej.

– Trzydzieści pięć kapsli, proszę pani – odparła, sięgając po zamówienie.

Zamrugalam kilka razy. – Ee, nie sądzisz że to trochę za drogo jak na płatki i sodę?

– Nie. – rzuciła krótko, wyciągając rzeczy na stół i szybko kładąc na nich swoje kopyta.

– Toż to rozbój w biały dzień! Dwadzieścia pięć kapsli.

W odpowiedzi spojrzała na mnie z ukosa. – Aa, więc jestem rozbójnikiem, tak? Czterdzieści kapsli.

– Czterdzieści?! Tak się nie targuje!

– Więc znajdź swoje bomby cukrowe gdzieś indziej – powiedziała, przesuając towary z powrotem pod ladę.

Wzięłam głęboki, uspokajający oddech i uśmiechnęłam się do niej z politowaniem. – Moja droga, są jednak dwie sprawy, na które warto zwrócić uwagę. Jestem “Ochroną” i muszę oszczędzać pieniądze na kulki i spluwy i inne rzeczy do zajmowania się złymi kucykami – odparłam, szczerząc się, pewna swojego zwycięstwa.

Natomiast jej oczy rozszerzyły się, a na twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Masz kasę na broń i inne drogie rzeczy? Siedemdziesiąt pięć!

Wymamrotałam parę słów o tym, jak to ta mała szantażystka powinna pracować u Bottlecap w miarę, jak ona wyłożyła towary z powrotem na stół. Sięgnęłam magią po woreczek z kapsłami... i znowu... i popatrzyłam do tyłu i wtedy dopiero sobie przypomniałam, że wszystkie moje rzeczy zostały schowane gdzieś niedaleko torów. Spojrzałam więc znów na żółtą klaczkę z uśmiechem. – Może być na kreskę? – *Proszę?* zdawał się dodać mój burczący brzuch.

* * *

Zapomnijcie o Bottlecap, ta klaczkę powinna się uczyć u Usury. Miała kulę kapsli zamiast serca. No, ale przynajmniej udało mi się ją nakłonić do rozsiania wśród Zdobywców wieści o tym, by Glory, P–21 czy Sekashi nie próbowali mnie dalej szukać dopóki nie wrócę. Próbowała też sprzedać mi położenie moich rzeczy za pięćdziesiąt kapsli, nawet po tym jak wytknęłam jej, że nie mam jak jej za tę lokację zapłacić; oddam jej, jak już wrócę.

Oczywiście w momencie, w którym mi to powiedziała, pomimo kompletnego braku pojęcia o jakiej budce ona mówi, na Pipbucku pojawił się znacznik. Bez żadnych konkretnych dróg prowadzących do celu musiałabym się wspiąć na niewielkie wzgórze, tym samym otrzymując przed sobą szeroką połąć ziemi. Włączyłam sobie DJ Pon3’a. Przy odrobinie szczęścia usłyszałabym coś o moich przyjaciółkach. Koles miał chyba bzika na punkcie bohaterek. Pewnie rzadko kiedy wychodził na zewnątrz.

Na szczycie wzgórza spojrzałam do tyłu, na otoczoną mdłym deszczykiem osadę tuż przy autostradzie. Tuż za budynkiem poczty, wzdłuż drogi do Hoofingtonu, zauważyłam coś, co prawdopodobnie było kościołkiem Chapel. Budowla była położona za niewielką granią, nie mogłam więc zauważyć nic więcej prócz wieży i długiego, szpadzistego dachu. Trzeba przyznać, że nie była aż tak zaniedbana jak reszta budynków w tym miejscu; prawdę mówiąc wyglądało to tak, jakby został pomalowany około dekadę temu.

Zabawa.

Do kurwy nędzy, mózgu, przestań! Mam już tego dość! Poczułam, jak podnosi mi się ciśnienie, a głowa zaczyna mnie nieco boleć.

Patrząc w stronę Core’u, nie mogłam nie nabrać kilku głębszych oddechów. Jakiś czas temu pewien kadet stwierdził, że to miasto to pieprzona forteca. Dopiero teraz dokładnie uświadomiłam sobie, co miał na myśli. Hoofington nie był jedynie centrum nauki i rozwoju Equestriańskiego przemysłu wojennego; był też, na wiele sposobów, głównym celem wroga. Został stworzony po to, by przetrwać każdy, ale to każdy atak. Zza szarej masy Hoofingtońskiej rzeki wylaniały się wysokie, betonowe mury.

Owe wznoszące się budowle nie miały żadnych okien na świat. Poświęcili widok na Equestrię w zamian za większą ochronę. Naprawdę nie mogłam sobie w stanie wyobrazić brzydszego miasta, niż to. Nie potrafiłam też ogarnąć tego, dlaczego ktokolwiek chciałby tu żyć.

Wzgórza wyzierały z ziemi na południe od Hoofingtonu, ale były one jedynie karłami przy masywnym bloku granitu o niemal pionowych ścianach, wystającym z południowej krawędzi wyspy Core; The Hoof. Na szczycie wielkiej skały była jeszcze jedna z tych szpiczastych, betonowych wież, a z samego klifu odchodził sięgający mu do połowy mur. Zakręcał on w poprzek doliny, by spotkać się z mniejszą wieżyczką, zbudowaną na stromym zboczu wzgórza po jej drugiej stronie, a z jego podstawy płynęła odnoga Rzeki Hoofington, która obiegała zachodni brzeg wyspy. Mogłam dostrzec dość chaotycznie podświetloną przy pomocy reflektorów płaskorzeźbę jednorożca... Nie... miała też skrzydła... To musiał być obraz jednej z Księżniczek wyryty w betonie. Przez odpryski w ramie nie byłam w stanie rozpoznać, którą konkretnie z władczyń miał on przedstawiać. Była to tylko jedna z tam, ale najwyraźniej nie byłam wystarczająco blisko, by mój PipBuck znalazł w eterze jej nazwę. Światła wciąż zdobyły jej szczyt, tak jak i tego podobnego do kurtyny muru oraz brzydkich, kolumnopodobnych budynków. Gdy przymknęło się oko na zieloną aurę promieniowania, pęknięcia i przekrzywione wieże, można było sobie niemal wyobrazić kucyki, wciąż żyjące w tym przeklętym mieście.

Wreszcie odwróciłam wzrok. Ani trochę nie przybliżałam się do mojego celu poprzez stanie na tym wzgórzu. Zaczynało robić się ciemno, ale dzięki moim oczom niewiele to zmieniało. I tak poruszałam się głównie dzięki Pipbuckowi, na którym mała ikonka wskazywała mi drogę prosto na północ. W tych okolicznościach zupełnie nie spodziewałam się, że moje urządzone na nodze zabrzęczy, oznajmiając o odkryciu nowej lokacji. Za uschłymi drzewami i cierniowymi krzewami wyrósł pojedynczy, kwadratowy budynek. Otaczały go cztery pokryte uschłymi roślinami filary, zaś liter ponad głównymi drzwiami nie mogłam odczytać nawet swoimi zmutowanymi oczami. Na szczęście PipBuck ułatwił mi to zadanie, twierdząc, że jest to "Muzeum Przyrody i Historii Hoofingtonu".

Powiedziałam Zdobywcom, że udam się prosto po moje rzeczy i z powrotem... ale łażenie samotnie, z pustymi kieszeniami po niebezpiecznym pustkowiu naprawdę do mnie nie pasowało. Poza tym, wciąż miałam na uwadze mój cel uzyskania dziesięciu tysięcy kapsli. Jeśli było tam coś, co mogłoby być do tego pomocne, może powinnam tego poszukać. Drzwi frontowe były wzmocnione, a po znakach przypalania domyślałam się, że ktoś próbował je wysadzić. Cóż, wychodziło na to, że ten pomysł odpadał.

Wybrałam drogę, przechodząc za róg budynku. Zobaczyłam czystą ścieżkę prowadzącą na północ tuż obok niego. Zmieniłam zdanie – znów myśląc o odzyskaniu swoich rzeczy. Gdy minęłam kolejny róg, przypadkiem spojrzałam na tylną ścianę budynku. Była tam betonowa rampa, na której stały szczątki wagonu w którym wciąż znajdowały się próchniejące skrzynki. Wagon był częściowo rozładowany albo załadowany – nie byłam pewna. Niezależnie od tego porzewiały puszki i złom były wszystkim, co po nim pozostało na betonowej powierzchni. I kości, oczywiście... Bez kości to nie byłyby już Pustkowie. Podeszłam do drzwi przeładunkowych, gdzie przed nimi leżał skulony szkielet jednorożca. W jego kopycie był mały kartonik. Podniosłam go, po czym potrząsnęłam nim. Spojrzałam do środka na dwie lekko zardzewiałe spinki.

Popatrzyłam na porysowany zamek u drzwi. P-21 wytłumaczył mi proces włamywania się; nawet zademonstrował mi, jak się to robi raz czy dwa. Nie miałam wprawdzie przy sobie śrubokrętu, ale może magia też da radę. Uśmiechnęłam się do siebie, wspominając jego spokojny, poważny głos. "To po części polega na wyczuciu, a po części na słuchaniu. Znajdujesz odpowiedni kąt, przytykasz śrubokręt do spinki... o tak... i przekręcasz." Zmarnowałam pięć jego spinek, zanim mi nie zabrał narzędzi i nie zrobił

tego za mnie. A teraz miałam ledwie dwie.

Po części wycucie, po części słuchanie. Przykładałam i szurałam obydwoma przedmiotami, wsłuchując się w cichutkie kliknięcia mechanizmu. Róg zaświecił mi się, kiedy obróciłam zamek, czując, jak coś zgrzyta. Chwilę później spinka złamała się wpół. Z westchnieniem spojrzałam na zamek; Przy P-21 wyglądało to na takie proste... Coraz częściej uświadamiałam sobie, jak bardzo go potrzebowałam. Potrzebowałam moich przyjaciół. Przesunęłam nieco spinkę, uzyskując mniejszy kąt i, zamiast obracając od razu całość, przerwałam nacisk gdy tylko poczułam opór. Jeszcze lekki obrót spinki, przekręcenie... i... wpatrywałam się osłupiała na otwarty zamek.

– Chyba jednak jest dla mnie nadzieja... – mruknęłam do siebie, wślizgując się do środka. – Choć kiedy myślę o tym, że włamuję się do jakiegoś budynku, zaczynam się zastanawiać, czy będę musiała zapuszkować siebie samą... – kontynuowałam cicho... Zatrzymałam się. Zerknąwszy do tyłu, między ciemne kontury krzaków i obumarłych drzew, wydawało mi się, że zobaczyłam... coś. Czy to była... nie. To byłoby bez sensu. Potem spojrzałam na E.F.S... Żółty prostokąt? Powoli przesunęłam nogę do przodu... potem jeszcze jedną. Moje oczy lśniące piwnym blaskiem przebijały się przez gęstą noc, rozpoznając postać kucyka. Róg... Skrzydła...

– Niemożliwe... – szepnęłam. Wtedy, z błyskiem, jak gdyby nigdy nic – znikło.

Siedziałam tam przez długi czas, głowiąc się nad tym, co właśnie zobaczyłam... ponieważ wiedziałam, że nie mogłam być świadkiem pojawienia się Księżniczki Luny.

...Prawda? Puknąwszy się w skroń, zamknęłam oczy. Nie, nie było to możliwe. Nie mogły wciąż być żywe, a nawet jeśli, to nie bawiłyby się w chowanego z panią ochroniarz na nocnej wyprawie. Raczej naprawiałyby Equestrię... Westchnęłam, wpatrując się w miejsce, z którego zniknęła istota. – Po prostu... po prostu o tym nie myśl, Blackjack.

Nie rzuciwszy słów na wiatr wyrzuciłam te myśli z mojej głowy, po czym przekradłam się do magazynu po drugiej stronie muzeum. Było tam wiele skrzynek, ale raczej nic, co mogłabym uznać za wartościowe. Aczkolwiek... po podejściu bliżej i przyjrzeniu się dostrzegłam dziury po kulach. Co one robiły w dawno zamkniętym muzeum? Nie czułam zapachu kordytu, więc raczej nie były to zbyt świeże tropy.

Więc o co chodziło z tymi czerwonymi prostokątami na E.F.S.-ie?

Jeden ze szkieletów nosił... kiedyś... strój pracownika placówki. Z wielką ostrożnością usunęłam kości z drogi, przymierzając nowy uniform. Kieszenie. Dobrze. Spluwy byłyby lepsze. Kilka innych rzeczy byłoby jeszcze lepszych. Na przykład mikstury lecznicze. I Bomby Cukrowe. Osobiście wątpiłam, że którąkolwiek z tych rzeczy znajdę w tym miejscu. Koniec końców, co można było trzymać w muzeum (prócz tony nudy)?

Jeszcze więcej kości. Łuski. Automaty niskiego kalibru... SMG? Stare, okryte kurzem. Sprawdziłam resztki kucyków w poszukiwaniu dziur po kulach. I faktycznie, ktoś zastrzelił te kucyki bardzo dawno temu. *Świetnie. Ochrona przybywająca dwieście lat po masowym morderstwie...*

A skoro o morderstwie mowa: wyglądało na to, że pani Softheart wreszcie złapała klacz, którą szukała. "M.M zwycięża! Czteroletnia seria zabójstw nareszcie dobiega końca!" głosił nagłówek nad

głową jednego z trupów.

Ministerstwo Morale ogłasza, że sławna morderczyni, znana jako Anioł Śmierci została aresztowana przez oficerów MM. Anioł Śmierci podejrzana jest o morderstwo ponad dwudziestu żrebaków w ciągu ostatnich czterech lat oraz wiele przypuszczalnych morderstw. Podczas gdy jej tożsamość nie została jeszcze wydana, Ministerstwo oficjalnie ogłosiło, że “jest ona szalonym, niedobrym, bardzo złyyyyym kucykiem, robiącym baaaardzo złe rzeczy, i zamierzamy się upewnić, że nie zrobi tego nigdy więcej!”

Heh, kto by pomyślał, że Ministerstwo Morale miało jednostki porządkowe? Myślałam, że jedyne, co robili, to urządzali przyjęcia.

Sukces misji został okupiony za okropną cenę. Oficer Softheart została poważnie ranna w areszcie. Ministerstwo Pokoju oficjalnie odmówiło ujawnienia jej stanu zdrowia. Pierwszą ofiarą Anioła był—

Nagle zauważyłam jedną czerwoną kreskę, poruszającą się do przodu i w tył znacznie szybciej niż inne. Wyprostowałam się, ciekawa, czym też Pustkowia postanowiły mi tym razem dokopać. Oszalałe dzieci–zombie na wycieczce sprzed dwustu lat? Zabójcze robomaszyny? Prastary ghul, poszukujący pożywienia? No, dawać mi tu ich!

Wtedy moim oczom ukazał się wyjątkowo duży karaluch, strzygąc czułkami w moją stronę. – Łee... – powiedziałam sucho, a wręcz z nutką rozczarowania. Spojrzałam jeszcze raz na robala i z całej siły na niego nadepnęłam, co skończyło się satysfakcjonującym chrzęstem. Nie miałam najmniejszego zamiaru bać się lub, co gorsza, panikować z powodu byle żuczka.

Następnie znalazłam się w kawiarence, którą przeszukałam. Kilka przedwojennych monet kosztowała mnie Sunrise Sarsaparilla z automatu na napoje. Tęskniłam za marchewkową ekstazą Sparkle–Coli. I, poważnie, czym było dla mnie “lekkie napromieniowanie”? Spróbowałam sił w otwarciu apteczki. Zatriumfowałam, ale mikstury lecznicze wewnątrz były blado liliowe. Niedobrze. Potem naprawdę mi się trafiło: pół butelki burbonu Wild Pegasus w szafce. – Ktoś tu był niegrzeczny – powiedziałam, gdy kręciłam butelką przed oczami. Mądrze byłoby schować ją na później, ale, na szczęście, nie byłam mądrym kucykiem. Udałam się dalej w sekcję ekspozycyjną muzeum z miłym ciepłem w moim brzuchu.

Idąc do następnego pokoju, pojawiłam się w dużym holu głównym. Więcej kości. Więcej dziur po kulach i łusek. Co do siana się tu wydarzyło? Kiedy weszłam do pokoju, zabłysnęły światła awaryjne. Rozbrzmiał statyczny trzask w powietrzu, po czym muzyka zaczęła cichnąć, gdy system audio z trudem zagrał jakąś lekką i elegancką melodię. Szkielet smoka umieszczony przy wejściu odstraszał kucyki; nie byłam pod wrażeniem. Gdy dotknęłam frontowych drzwi, rozległ się szum i zautomatyzowany głos powiedział – “Przykro nam –bzzzt– gościu, muzeum jest czasowo zablokowane. Prosimy skontaktować się z –bzzzt– ochroną.”

– Heh, ja *jestem* Ochroną– powiedziałam, gdy spojrzałam na otwarte drzwi po bokach atrium, nieco zawiedziona, że jeszcze nie znalazłam niczego użytecznego lub wartościowego do zrabowania. “Kamienie Equestrii”. Pasuję. – No dalej, gdzie jest wystawa “Bronie Equestrii”? “Pałki teleskopowe przez wieki”?– głośno myślałam, gdy weszłam do bocznego korytarza, prowadzącego do działu z wystawami. Kiedy podeszłam bliżej, lampki awaryjne obudziły się do życia, dając nikłe źródło światła.

– Dolina rzeki Hoofington została skolonizowana –bzzzt– temu przez koczownicze plemiona zebr. Chociaż ich dokładna liczba nie jest znana, założyły one jedne z najstarszych społeczności –bzzzt– bzzt–. Jednak, z powodu nieznanymi okoliczności, Hoof –bzzt kraak– zostało opuszczone. Equinolodzy przypuszczają, że erupcja wulkaniczna mogła doprowadzić –bzzt– prymitywnych społeczności. Inni eksperci przypisują winę rozwijającemu się szczepowi –zzzzt– dziesiątkowanie populacji.

Spojrzałam na rozwalone gabloty. Nie zostały zrabowane, ale zawartość nie była w najlepszym stanie. Rozdarte plecione koszyki i rozbite gliniane garnki leżały na całej powierzchni podłogi. Były też zdjęcia na ścianie, wyblakłe lub zapleśniałe. Zauważyłam także dioramę “Potencjalnej Osady Starożytnych Zebr”, nadal chronioną w swojej gablocie. Mały wulkan wypływał delikatne kręgi dymu, podczas gdy wulkan górował nad osadą zebr. Wzięłam zebrzą włócznię tylko po to, by ta skruszyła się w uścisku mojej magii; to była tylko drewniana replika. Było też zdjęcie zebrzy z czerwonymi paskami, obrzucanej kamieniami i patykami. Podpis powyżej głosił: „Czerwone paski znakiem hańby”.

Przechodząc do kolejnego pomieszczenia, zaskoczył mnie posąg, wyobrażający białego jednorożca. Miał na sobie skórzany kropierz i metalowy hełm. Poza tym, lewitował przed swoim obliczem lunetę z mosiądzu. Cały efekt dramatyzmu został zniszczony przez to, że statua powinna stać na bazie, a nie leżeć tuż obok niej na boku. Światła zamigały żywo:

– Pierwsi Equestriańscy odkrywcy dotarli do Hoofingtońskiej –bzzzzzzt– liny, gdy ekspedycją dowodził Książę Blueblood Trzeci. Według jego bardzo wątpliwych wspomnień, stawiał on czoła kanibalistycznemu plemieniu zebr pigmejskich, rojowi bardzo terytorialnych –kzzt– gryfów, i jednej wielkiej niedźwiedzicy. Mimo jego żarliwych roszczeń, dowodów nigdy nie znaleziono, by udowodnić –bzzt–. Po powrocie do Canterlot, –kraaapop– po odrzuceniu jego zapewnień co do całego regionu, dano mu małą część górnej doliny rzeki za jego odkrycie.

Tak naprawdę średnio słuchałam. Przed oczami miałam miecz, ale nie taki zwyczajny. Ten tutaj był dwadzieścia procent bardziej zajeby, niż jakkolwiek inny, nawet w porównaniu do tych wyśnionych. Zrobiony z białego, srebrzystego metalu, ozdobiony wrytymi postaciami jednorożców. Wystarczyło jedno, jedyne spojrzenie na to, jak wisiał w gablocie, bym wiedziała, że moje problemy z obroną własną właśnie znalazły swoje rozwiązanie. Walłam kopytami w pojemnik. Przelewitowałam najcięższą rzecz, jaką tylko byłam w stanie unieść i uderzałam w niego raz za razem. Chciałam nawet otworzyć zamek, ale był on tak skomplikowany, że nie byłam nawet w stanie wcisnąć w niego spinki, by spróbować. Typowe.

Były tam cztery zdjęcia, które uznałam za interesujące. Ekspozycja była nieco przechylona i okraszona tytułem “Jak Wulkan Hoofington zniszczył zebr”. Pierwsze przedstawiało duży wulkan i spore miasto zebr u jego podstawy. Na drugim połowa wzgórze została wręcz zdmuchnięta nad zabudowania. Trzecie to wielki krater u stóp granitowej kopuły, w środku wypełniony lawą. Ostatni przedstawiał tę dziurę po ostygnięciu stopionej skały, z obu stron otoczoną przez dwie odnogi rzeki. Wszystko w zasięgu wzroku pokrywał popiół. Przypominało mi to Pustkowia.

Nie zdążyłam jeszcze dobrze wejść do następnego pomieszczenia, gdy zamarłam nagle. Przede mną stał alicorn, obdarzając mnie pełnym pogardy spojrzeniem i obniżając swój róg, by w każdej chwili zaatakować. Szaleńcze bicie mojego serca uspokoiło się, gdy rozbłysły światła i okazało się, że jest to jedynie kolejna rzeźba.

– Hoofington, będący w tamtych czasach ledwie wioską, odegrał małą rolę podczas pierwszego

pojawienia się Nightmare Moon. Z miejscowych podań można wyciągnąć wnioski, jakoby, jeszcze nim rzuciła swej siostrze wyzwanie o kontrolę nad całą Equestrią, była wielokrotnie widziana –bzzzzzt–. Choć manehattańscy naukowcy podważają prawdziwość tych zajęć, naoczni świadkowie –skrrr klik–.

Bardzo się starałam dostrzec jeszcze coś wartościowego, nic w tamtym dziale nie przykuło już mojej uwagi, przeszłam więc dalej. Światła zamigotały kilka razy. Następny pokój miał więcej obrazków na ścianach i małą dioramę na środku. Makieta ta przedstawiała wielki blok granitu, jaki widziałam na zewnątrz, a także miasto u jego podstawy i nieco okolicznych terenów. Na pozostałych brzegach rozwidlonej rzeki również dało się dostrzec mniejsze zgrupowania budynków.

– Z czasem, Hoofington rozwinął się z rolnego –bzzzt– w naukowe i kulturowe centrum dla większości Equestrii. O ile wiele prestiżowych –fzzzt– kontynuowało swoją działalność z Canterlotu, Hoofington specjalizował się w wyższym szkolnictwie oraz rozwoju technologicznym. Niezliczeni lekarze, naukowcy, alchemicy oraz inni akademicy rozwinęli –zzzzz– spokoju Hoofingtonu. – Mnóstwo zdjęć wielkich, ceglanych budowli z białymi kolumnami u frontu. Zieeew. Mnóstwo jajogłowych. Jasne.

Następny pokój na stówę nie był nudny! Został urządzony tak, by wyglądać, jakby właśnie szalał w nim pożar. Trzeszcząca muzyka została zastąpiona dźwiękami płonącego drewna.

– Hoofingtonska Pożoga zapisała się na kartach historii miasta jako wydarzenie, która przesądziło o jego pełnym udziale w wojnie. Po bezprecedensowej masakrze bezbronnych studentów w Littlehorn, Zebry nie zwlekaly z popełnieniem kolejnej potworności, jaką był niesprowokowany atak na miasto. Choć nigdy wcześniej nie było ono celem w żadnej większej kampanii, komandosi zebr wdarli się w głąb Equestrii, by przynieść za sobą wojnę także do Hoofingtonu. Przy pomocy ładunków zapalających wzniecali płomienną burzę, która zniszczyła centralną część miasta. Straty szacowane były na dziewięćset żywołów niewinnych cywili, starających się uciec przed płomieniami pochłaniającymi wyspę.

Nagle rozległ się trzask, a potem coś zaczęło nade mną szumieć. Odskokczyłam, spodziewając się automatycznej wieżyczki czy czegoś podobnego. Okazał się to jednak być jedynie projektor, rzucający obraz na pustą część ściany. Był on jednak zbyt zakłócony i ziarnisty, by dało się wiele dostrzec. Spalone, pokryte sadzą budynki po bokach, tłum kucyków spoglądających w górę na coś w rodzaju platformy i ktoś do nich przemawiający. Potem rozległ się trzeszczący głos jakiegoś ogiera:

– Dzisiaj zebry ukazały całej Equestrii swoją prawdziwą twarz. Nie tylko są winne morderstwu wielu bezbronnych i niewinnych źrebiąt w Littlehorn, lecz czyhają na życia wszystkich, nawet nieuzbrojonych cywilów w głębi Equestrii. Zaatakowali nasze świątynie edukacji, odkryć i twórczości. Powiem wam, czemu to robią: ze strachu. Ze strachu przed tym, co mogą oznaczać nasze osiągnięcia. Ze strachu, że ich zabobony okażą się fałszem i zostaną zapomniane. Ze strachu przed tym, do czego jesteśmy zdolni. Wierzcie mi, gdy mówię wam, że mają się czego bać!

– Kieruję swe słowa do całego Hoofingtonu, do całej Equestrii, do wszystkich samodzielnie myślących intelektów świata. Przybądźcie do naszego miasta i pomóżcie nam uczynić koszmary zebr rzeczywistością! Stwórzmy miasto poświęcone zwycięstwu całego kucykowego rodzaju! Poświęćmy się odkryciu sekretów samych gwiazd i sprawmy, by nasi wrogowie zapłacili za swoje zbrodnie! Moźni naszego świata, zwracam się ku waszej szczodrości, byście pomogli sfinansować tę odbudowę; zapłatą za wasze poświęcenie będzie rozwój naszego ludu. Zwracam się do kuców pracujących, niech ich pot i mięśnie uczynią to miasto rzeczywistością. Zwracam się do intelektualistów, by użyczyli nam swego geniuszu i wizjonerstwa, potrzebnego do stworzenia miasta światłości i wiedzy.

– Zwracam się także do zebr. Patrzcie na to wszystko z przerażeniem i nienawiścią. Chcieliście zadać nam cios ścieżką morderstwa i zdrady. Nigdy więcej! Hoofington powstanie, a wy połamięcie swe kopyta i zęby na jego fundamentach, nim ponownie upadniemy! Stąd, z tego miasta, odpłacimy się po tysiącokroć za wszelkie cierpienie i krew, którą przelaliście! A gdy przyszłość zapuka do naszych drzwi, przybędziecie do Hoofingtonu w trwodze, podziwie i hańbie! Za Equestrię, za Księżniczkę Lunę, za cały nasz rodzaj, Hoofington powstaje!

Cały tłum oszalał, uderzając kopytami o ziemię. Głosy “Hoofington powstaje!” z każdą chwilą nabierały na głośności, by w końcu przerodzić się w zbiorowe nawoływanie “Hoofington powstaje! Hoofington powstaje!” Projektor zamigotał dokładnie w momencie, w którym zdołałam rozpoznać twarz ogiera. Głośniki wyemitowały jeszcze jakiś bezsensowny bełkot, potem zapisał i ucichły.

O cholera... coś było ze mną nie tak; chciałam się dowiedzieć, co było potem! Po takiej przemowie... zrozumiałam, dlaczego ocalali z całego miasta postanowili się połączyć. Cholibka, jedna z tamtych klaczy była w stanie oddać się całkowicie sprawie Hoofu! Mimo to, efekt tych działań był trochę zepsuty – wiedziałam, że, koniec końców, zebry wygrały nad miastem. Jakimś cudem udało im się wsadzić megaczar do środka i rozwalić wszystko wokół. I to by było na tyle w kwestii “Hoofington powstaje”.

W kolejnej części muzeum większą uwagę zwracałam na wyblakłe plakaty i stare fotografie. Jedno z nich przedstawiało cztery równoległe sobie linie torów z pociągami i wypełnionymi po brzegi materiałami budowlanymi. Najwyraźniej dziesiąta część budżetu Fillydelphii poszła na dwa pierwsze lata budowy. Domyślałam się, że było to sporo. Jeszcze inne zdjęcia pokazywały żurawie i drużyny pegazów unoszące wielkie, kamienne bloki i kładące je na miejsce. Kolejne przedstawiały roboty w towarzystwie kucyków ziemnych, pracujące nad podziemnymi tunelami miasta. Mały skrawek papieru informował o odkryciu zebrzych ruin podczas prac wykopaliskowych. “Stowarzyszenie Archeologiczne Manehattanu protestuje przeciwko zniszczeniu pozostałości zebrikańskiej kultury. Odpowiedź szefa budowy: ‘Hoofington powstaje’.”

Jednak tym, co przykuło mą uwagę najbardziej, była wystawa związana z sześcioma ministerstwami. Znajdował się tam duży, kolorowy obrazek (który zbrązowiał ze starości) sześciu klaczy stojących wokół stołu, pokazujących na różne tabele i projekty w miarę jak reszta przyglądała się im z troską i niepewnością. Głośniki potrzęszczały chwilę, nim wydobył się z nich głos. “Podążając za obietnicą królestwa, nawiązującą do starań w kwestii odbudowy, zdecydowano, iż każde z ministerstw będzie miało –bzzzzt– obecność w mieście, aby móc bez problemu ze sobą współpracować i polepszyć efekty ich wspólnych działań ku dobru Equestrii. Aby ułatwić osiągnięcie tego celu, wybudowano –bzzzzt– Biuro –kzzzt, szумы, trzaski– razem z Księżniczką.

Biuro czego? Rozejrzawszy się wokół, zauważyłam malutki plakat z szarym pierścieniem. “Biuro Spraw Międzyministerstwowych. Dołącz do nas.” Ktoś tu powinien być zwolnić swojego marketingowca.

Nagle dał się usłyszeć pisk radrakana połączony z trzaskiem. Spojrzałam w dół.

Nie nadepnęłam na żadnego radrakana...

Ostępiałam i powoli popatrzyłam po pomieszczeniu. Na EFSie było teraz o wiele więcej

czerwonych prostokątów!

– Debil... – ktoś szepnął, a moje uszy drgnęły.

– Nienawidzę tych przeklętych robali – odparł szeptem inny kucyk, z tego co słyszałam – tuż zza rogu.

– Będziesz ich nienawidzić jeszcze bardziej, jak ci odstrzeli główkę. Wy idziecie na górę, reszta obserwuje tylne drzwi. To nasza najlepsza szansa na złapanie jej żywą, jeśli tylko tego nie spieprzycie!

A więc, droga Celestio... czy mam teraz rozłożyć szeroko nogi, żebyś mogła łatwiej ruchać mnie w dupę? Czułam się dziwnie... naga. Bez spluw, bez jakiegokolwiek faktycznej broni. Żadnej zbroi. Nie za dużo leczenia, a cały budynek był pełen kucyków chcących wysłać mnie prosto do piekła, jakim był Deus.

Czemu więc się uśmiechałam?

Zza rogu wyszły dwa kuczki i prawie natychmiast stanęły jak wryte. Potem, przez chwilę, na ich twarzach zagościł uśmiech dający poznać, że jest to najlepsza noc ich życia. Miałam cichą nadzieję, że napawali się tą chwilą, kiedy do nich podchodziłam. Utrzymałam swój wzrok na ich oczach i uśmiechnęłam się słodko. – No hej...

– Słodka cipko Celestii, ona jest *pijana*... – szepnął ten z dwoma karabinami zamontowanymi na siodle bojowym, patrząc na mnie w zdumieniu. Jego towarzysz tylko się szeroko uśmiechnął zza kolby pistoletu trzymanego w ustach. Aż się skrzywiłam na widok mocno pordezewiałych części obu broni. Podeszłam bliżej, kroczył po kroczu, rzucając plotem na boki i ciągnąc sporego łyka z butelki.

– Mmmm... tylko troszkę, – powiedziałam, skracając dystans między nami. W ich oczach nareszcie zaczynałam dostrzegać niepokój w miarę jak wciąż się w nie wpatrywałam.

– T–ty... lepiej się odsuń, – zagroził ogier z karabinami, przełykając głośno ślinę.

– Ooo... boisz się dziewczynki? – podjudzałam go, czując, jak policzki mi się czerwieniły. – Momencik... wciąż trochę mi zostało, – powiedziałam krytycznym tonem, obracając butelkę i wlewając pozostałość do gardła.

– A teraz... po cichu pójdziesz z nami... bez szamotania się... grzecznie i spokojnie... – powiedział ten niebieski, z siodłem bojowym, znów przełykając ślinę. – Nie masz broni, więc nie ma sensu byś utrudniała nam sprawę.

– Racja. Nie mam broni... – stwierdziłam, stając tuż przed jego nosem, gdy me usta wykrzywiły się w wesołym uśmiechu. – I być może faktycznie masz dobre argumenty... – wymamrotałam, delikatnie posuwając kopyto wzdłuż jego klatki piersiowej, przez co oczy ogiera aż zadrżały. – Jest jednak jeden mały, tygi–tygi problemik z tą częścią o poddawaniu się, – westchnęłam z butelką w polu telekinetycznym tuż za mną. – Jak mówiliście... jestem trochę pijana.

Butelka nagle roztrzaskała się o skroń pistolera (z moją małą pomocą), a jej kawałkami dźgnęłam najmocniej, jak tylko nie mogłam, prosto w jego gardło. Przesunęłam nimi po jego twarzy i szyi za

pomocą telekinezy, jednocześnie ustami łapiąc za uzdę od siodła bojowego drugiego z nich, kopytami zaś łapiąc za obydwa karabiny. Ponownie używając magii złapałam pistolet z ziemi, na co niebieski ogier otworzył usta w zamiarze zawołania o pomoc. Nie zdążył z powodu lufy w jego pysku. Dopiero wtedy wyplułam wspomnianą uzdę. – A teraz już *mam* spluwę. – A potem tył jego głowy wylądował po drugiej stronie pokoju.

– Słyszeliście to? – ktoś wyszeptał. Z innych pokoi dało się słyszeć szurania i ogólne odgłosy hałasu. – Ej, Joss! Haystack! Jesteście tam?

Po okrążeniu rogu i wszedłszy do atrium, zauważyłam klacz z lewitującym obok obrzynem, ledwie kilka metrów ode mnie. Następna trójka stała trochę dalej. – Nie! – odparłam, posyłając resztę magazynka prosto w jej twarz. Potem wywaliłam pistolet, zamieniłam na wspomnianego obrzyna i lekkim klusem udałam się za sporej wielkości platformę, na której stał szkielet smoka. Niestety, kolejnych troje wrogów weszło do tego pomieszczenia, co więcej – byli nieco poza moim zasięgiem. I choć matematyka w wersji whiskey podpowiadała mi, że dwa pociski faktycznie mogą się równać trojgu trupom, tak ich ogień w odpowiedzi zhańbił i pogrzebał jakiejkolwiek próby podjęcia się arytmetyki z mojej strony. Leczące kule nic nie robiły smoczym kościom, choć trzymające je w kupie kable to była zupełnie inna sprawa; jeden po drugim zaczęły pękać niczym lód pod wpływem ciężaru (Nie pytajcie skąd to wiem), zaś kości zaczęły się kołysać. Wrogowie poczuli iść w moją stronę, zaś ja ukryłam się całkowicie za osłoną w towarzystwie trzeszczących, zgrzytających kości smoka nade mną.

Wtedy zaczęłam nucić sama sobie, jednocześnie patrząc na dwie rury podtrzymujące konstrukcję. Zajęły się nimi dwa śrutu kalibru 12 gauge. Potem kopnęłam szkielet z całej siły; pozostałe liny szybko puściły i cała masa kości zleciała prosto na trójkę kucyków. Czaszka gadziny wylądowała nawet na głowie jednego z nich, szybko zamykając opadniętą szczękę nieszczęśnika. Nim się obejrzałam, już śpiewałam pewną świetną nutkę, której nauczyłam się od Pecos.

*¹Całą noc pijemy Whiskey
Chociaż problem mamy wielki
Całą noc pijemy Whiskey
Pijemy u każdej belki
Czas zły, czas mdły, z oczu lecą łzy
Wszyscy ciurkiem w swoje pyski
A więc pijmy w nasze puste łby
Nalewajmy ciągle Whiskey!*

Jeden z kucyków wykaraskał się jakoś z rozsypanych kości i próbował zmusić swoje działa do kooperacji. Wskoczyłam na platformę. Ona strzeliła tam, gdzie byłam przed chwilą, pewnie strzelać nie umie. Na szczęście ja miałam skilla samonaprowadzającego i dwie kości, które kopnęłam. Poleciały prosto w jej łeb. To mi wystarczyło, żeby wskoczyć na jej grzbiet, złapać za jej szyję i jebnąć parę razy kolbą obrzyna o jej czaszkę. W końcu coś w jej szyi pękło albo coś takiego, bo padła plackiem na ziemię. Koniec końców trzeci też się wydostał, złapał sporej wielkości kość i zaszarżował na mnie. Mnie, śpiewającą kolejne i kolejne zwrotki świetnego utworu!

*Teraz wiem, co jest, dobre wino też
Naszyc klaczy piękne pyski!*

¹ Oryginał wraz z linkiem do utworu na Youtube na końcu rozdziału.

*I choć problem jest, damy radę se
Nie zapomnij też o Whiskey!*

On w pysku miał ładną, długą kostkę. Ja miałam przepołowioną strzelbę. Ta sytuacja wymagała poprawy. Sama też złapałam za kość, która była jednak o wiele mniejsza. Ogier zamachnął się, ale stwierdziłam, że ból jest dla słabych i bez problemu wciąż stałam na nogach. Tylnich, bo przednie podniosłam i złapałam za tę fajną, długą kostkę i z całej siły popchnęłam ją w dół. Oczy rozszerzyły mi się nagle, a szyja wygięła pod dziwnym kątem. Wtedy podniosłam moją własną kostkę, która okazała się być sześciociałowym kawałkiem szponu smoka, i pociągnęłam po jego gardle. Kucyki na górze biegły na dół, krzycząc głośno. Mogłam wtedy pobiec i poszukać jakiejś osłony, ale po co komu osłony? Zamiast tego pobiegłam im na spotkanie, praktycznie już wrzeszcząc piosenkę.

*Całą noc pijemy Whiskey
Choć nasz problem wciąż jest duży
Całą noc pijemy Whiskey
Potem łeb ktoś w toń zanurzy!*

Wparowałam w ogiera posyłając go na ziemię i przygważdżając do ziemi do miejsca pomiędzy moją lokacją sprzed dwóch sekund i jego towarzyszami. Mój spoczy szmon... znaczy smoczy szpon... wbił się naprawdę głęboko w jego klatkę piersiową. Kilka razy. Ten próbował w międzyczasie sięgnąć po swój rewolwer, by mi odstrzelić mój zgrabny tyłek. Niestety nie udało mi się zabić go na czas, więc byłam zmuszona uskoczyć w bok. Kuce, które właśnie przymierzały się do popchnięcia mnie z ich kompana, posłały go w dół schodów na pewną śmierć. Inni, dwaj najbliżsi przyjaciele skradali się obok mnie. Nasze oczy spotkały się, ale to ja byłam tą szczerzącą zęby w jego stronę, kiedy skoczyłam... prosto pod jednego z nich.

Widzę Prancję, widzę Hoofton... dzisiaj życie, śmierć zaś jutro? Mój szpon przeciął powietrze... i nie tylko... przede mną, wydostając z gardła ogiera najwyższe i najbardziej przerażające dźwięki, jakie był w stanie wydać kucyk. Wtedy podniosłam się, przenosząc jego ciężar za barierkę i posyłając go w dół, w stronę bałaganu, jaki wywołał szkielet smoka. Kurczę, wciąż był żywy. Trzymał się krocza, lkał i wył z bólu... a ja spjrzałam tymczasem na drugiego z nich, stojącego tuż nade mną.

Chwilkę tak sobie postać... myślał, że skrzydeł dostał! Przeskoczył mnie i barierkę, dołączając do swojego rannego towarzysza. Niby połamał sobie tym samym nóżki, ale i tak próbował się dostać do tylnego wyjścia. Niestety, nie był w stanie tego zrobić. Raz: z powodu rannych nóg. Dwa: Z powodu kolejnej fali wrogów, którzy właśnie wyszli ze wspomnianych drzwi i udali się do pokoju tuż pode mną. – Brać ją, chłopcy, ale żywcem! Jest wiele warta! – *Heh. Ktoś tu miał nieco nieaktualne informacje.*

*Jest wódka, jest, nasz wyciskacz łez
Z pamięci zostają przebłyki!
Ale smak nie ten, zimno mrozi krew
Więc zostaniemy przy Whiskey!*

Dzielny przywódca, śmiały jak lew, ugiął pod moim ciężarem się... dobra, starczy rymowanek. Niestety, upadek – choć zakończony przyjemnym chrupnięciem kości pod moimi kopytami – dotknął również i mnie. Jeden z jednorożców zwrócił strzelbę w moją stronę. W odpowiedzi wsadziłam mu szpon w... lufę. Ona wystrzeliła, szpon poleciał gdzieś w pizdu, strzelba eksplodowała w jej stronę. Potem magia złapała za rzeczoną broń, obróciła i walnęła ją prosto w łeb.

Niestety, przez ten czas dwójka całkiem dorosłych kucy wpadła prosto na mnie z siłą tak wielką, że aż odbiłam się od umocnionej gabloty. – Poderżnij jej gardło, szybko! – krzyknął jeden z nich. Bystrzacha.

– Przecież już ją mamy! – zaśmiał się drugi. Ja? Wyszczrzyłam zęby w stronę tego mądrzejszego, po czym popatrzyłam na jego przyjaciela z fajnym nożem Bowie, który byłby w stanie dokonać cudów, będąc w odpowiednich kopytach. Ponownie zaświeciłam swój róg, zwinnie wyciągając broń z pochwy i dżgając kilka razy w szyję właściciela.

*Wciąż pijemy naszą Whiskey
Problem mamy, lecz niewielki
Wciąż pijemy naszą Whiskey
A nam znika obraz wszelki...*

– Szalona kurwa! – krzyknął drugi, odskakując i przygotowując swe siodło bojowe.

Wtedy weszłam w tryb S.A.T.S, a mój róg zaśnił jaskrawym światłem w miarę jak trzy telekinetyczne pociski poleciały prosto w jego twarz. Ogier zachwiał się na nogach, strzelając na ślepo mniej więcej w miejsce, w którym byłam.

*Czasy złe, czasy mdłe, wszyscy biją się
Posiniaczone ich pyski
A ja wrócę, znajdę cię...
...Kiedy tylko skończę Whiskey!*

Skończyłam śpiewać, przecinając jego gardło nożem. Czułam bicie mojego serca, gdy przemieszczałam się po podłodze, przechodząc nad skrzywionym, skulonym ogierem próbującym ochronić swoje klejnoty (albo raczej to, co z nich zostało). Przeszukałam ciała i, niech mnie Celestia wytula, znalazłam drugą butelkę Wild Pegasus. Lewitując ją, podeszłam do panów Połamanym Nóżek i Strzaskanym Jaj, w czasie gdy ten drugi trzymał się kurczowo swojego krocza. Wypiwszy trochę trunku, usiadłam obok nich. – Przepraszam za to, – powiedziałam, czując jak cudowne ciepło rozlewa mi się po brzuchu. – Wciąż je masz? – spytałam drugiego z nich.

Dwójka kucyków spojrzała na mnie z przerażeniem.

– Kurczę. To było chamskie z mojej strony, no ale wiecie... ten zapach i w ogóle, – stwierdziłam, podając za pomocą magii butelkę Połamanym Nóżkom. Trzęsąc się, pociągnął jednego, długiego łyka. “Dobra, teraz tak. Wszyscy potrzebujemy kapsli – powiedziałam, starając się brzmieć rozsądnie. Przy okazji dałam Strzaskanym Jajom ze dwa razy się napić. – Ale ja potrzebuję swojego życia. Jest cała masa kucyków, które zasługują na problemy mojego kalibru, a chciałabym, byście wy ich nie mieli. – Oddałam Strzaskanym kilka mikstur leczniczych z moich juk. – Chciałabym więc, byście odpowiedzieli wszystkim, których znacie, że są o wiele bezpieczniejsze sposoby na zdobycie kapsli bez narażania się na niepotrzebne rany... – powiedziałam, dając im jeszcze po jednym golnięciu.

– Tak, proszę pani – wymamrotał Połamane Nóżki. Strzaskane Jaja tylko jęknął. Domyślałam się, że nie chciał sprawdzać, jak źle wyglądają jego dwa skarby.

– A teraz poczekajcie tu chwilkę – powiedziałam, wstając i przeczesując cały budynek wzdłuż i wszerz, zbierając tyle amunicji, noży, pistoletów i smoczycz szponów, ile mogłam znaleźć. Zajrzałam też na górę, gdzie znajdowała się holotaśma i terminal. Ten drugi mi się opierał czas jakiś... a potem zablokował całkowicie. Cholera. Terminale powinny być łatwiejsze. Znalazłam też skrzydło medyczne w biurze ochrony, dzięki któremu mogłam nastawić jedną z połamanych nóżek Połamanych Nóżek. A, no i kolejna miksturka dla drugiego z ogierów.

– Dobra... uważajcie na siebie! – powiedziałam, wstając z cichym jękiem. Uzbierawszy rzeczy od łowców nagród udałam się wreszcie w stronę wyjścia. Cały świat zakolysał się razem ze mną, kiedy chwyliwy utwór wciąż brzmiał pięknie i dzwonił w mych uszach.

– Ona jest kurewsko najebana!... – usłyszałam pana Połamane Nóżki.

– Stul pysk, idioto! Chcesz, żeby tu wróciła?

* * *

– Słodka Celestio, zabij mnie. Daj mi kulkę... – jęknęłam, pogrążając twarz w materacu. Z racji udanego przetrzepania złupionego muzeum (i niezapowiedzianych agresorów) oraz odzyskania moich rzeczy, powinnam być całkiem z siebie zadowolona. Jednak wróciłam do Chapel w stanie całkiem zabawnego oszołomienia, a Zdobywcy, odkrywszy moje pijackie zapędy wcześniejszej nocy, teraz z całą złośliwością wykorzystywali mojego kaca, paplając z głośnieścią młota pneumatycznego.

– Jeden nabój, trzy kapsle – twardo oznajmiła klaczka za ladą. – W innym wypadku użyj własnego. Księżunio może ulżyłby ci bólu za frajer, ale ja nie prowadzę fundacji. – *Ta mała klacz z pewnością będzie szefową Poszukiwaczy...*

Priest przespacerował w pobliżu z rozbawieniem na pyszczku. – Ach, cena, którą zmuszeni jesteśmy płacić za uciechy Celestii.

– Ulecz mnie, proszę, ulecz mnie – zaskomlałam.

– Już to zrobiłem, kiedy tutaj wróciłaś, cała rozśpiewana – odpowiedział, śmiejąc się cicho. – To, co czujesz teraz, to nauka od twojego ciała, że alkohol w zbyt dużych ilościach jest zły.

– Moje ciało jest tak zjebane... – stęknęłam, kuląc się i chwytając kopytami moją pulsującą czaszkę.

– Nie zgodziłbym się – odparł spokojnie, a ja otworzyłam jedno oko, by na niego spojrzeć. Czy on właśnie zaczął mnie podrywać? Było mu w ogóle wolno? – Mimo wszystko cieszę się, że oszczędziłaś tamtą dwójkę. Twoja łaska świadczy o tobie lepiej, niż twój gniew.

– Priest, zdaje mi się, że z jednego z nich zrobiłam kastrata – mruknęłam, siadając. Ogier spojrział na ladę i poprosił o butelkę wody. Ku mojej rozpaczy, klaczka podała mu ją za pomocą magii, nie

upominając się o zapłatę. Jej spojrzenie dawało mi do zrozumienia, że nie mam co liczyć na podobne traktowanie.

– Cóż, niewielka łaska jest lepsza, niż jej brak – odkaszlnął, nim się wyprostował. – Proponowałbym, byś poszła się przewietrzyć na zewnątrz. Przejdź się w deszczu. Oczyszczyć umysł.

– Co u twoich pielgrzymów? – zapytałam, unosząc na niego wzrok i starając się ignorować tępy ból w mojej głowie. Najwyraźniej te telekinetyczne pociski przyprawiły o cholerny ból głowy, co bynajmniej nie pomagało. Nie byłam nawet w stanie unieść butelki z wodą do moich ust, tak bardzo mogłam się skupić.

– Wkrótce odchodzą – powiedział cicho, z wyraźnym smutkiem. Pewnie chciał spędzić z nimi więcej czasu.

– Wybacz. Zgaduję, że nieczęsto puszczasz ich dalej – powiedziałam, podnosząc się do siadu. W kopytach trzymałam butelkę, z której też zaraz upiłam łyka. Woda... bez radów... bez bąbelków... Jasne, utrzymywało to przy życiu, ale gdzie w tym wszystkim smak?

– Wręcz przeciwnie. Zdaje mi się, że robię to zbyt często – odparł zagadkowym tonem, po czym opuścił pomieszczenie.

– Arrgh... jeszcze więcej skrytych ogierów. Czemu nie mogą po prostu powiedzieć, co ich gryzie? Czemu to dla nich takie— ałaaa... – zaskomlałam, gdy kac w końcu dogonił mój głos. – Głupi kac... głupi mózg.

– Dziesięć kapsli za wodę – rzuciła ostro młoda handlarka zza lady.

– Co? Jemu ją *dałaś*. – Wskazałam kopytem w stronę drzwi.

– Ale to ty ją pijesz. – Wzięła głęboki oddech. – Dziesięć kapsli poproszę! – wrzasnęła najgłośniejszym głosem, jak pozwoliły na to jej niewielkie płuca.

Zmieniłam zdanie. Ta mała kłaczka któregoś dnia będzie mieć pod swoim kopytem całe Pustkowie. Każdy jeden kapsel będzie jej. To tylko kwestia czasu.

Ciężko było mi to przyznać, lecz powietrze naprawdę mi pomogło. Deszcz zostawiał na moich ustach metaliczny posmak; było to zapewne niezdrowe jak cholera, ale pomagało uspokoić mój łomoczący mózg. Muzea i inne miejsca, w których można było się czegoś nauczyć były ewidentnie niezdrowe dla kucyków mojego pokroju. Postąpiłam wzdłuż grani, w stronę Chapel, po czym zamarłam.

Sporo nagrobków. Rząd za rzędem, marmurowe głowy wystawały spomiędzy pożółkłej trawy. Nie byłam w stanie nawet zgadywać, jak wiele. Tysiące? Dziesiątki tysięcy? Rząd za rzędem rozciągały się dalej, niż można było spojrzeć. Przez wysoką trawę nie byłam w stanie dostrzec końca. To nie ofiary bomby. To wszystko wina dekady, kiedy Hoofington znajdował się na muszce zebr. Zawahałam się przez moment, po czym ruszyłam powolnym krokiem przez pola. Imię. Rasa. Data. Wryty znaczek. Najkrótsze z epitafium na małych, marmurowych nagrobkach: Kochający ojciec, troskliwa matka, ulubiony sukisyn, najlepszy z przyjaciół.

Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Nie chodzi mi o zmarłych; widziałam tak wiele kości kucyków, że zdawały się być dla mnie tylko częścią tła. Obchodziło mnie to jedynie, kiedy znałam imię. O tych zmarłych ktoś dbał. W Stajni 99, kiedy zginąłeś, rzeczy wyglądały tak, jakbyś po prostu nigdy nie istniał. Trupy były zabierane do maszyn i przetwarzane, razem ze wszystkimi odpadkami Stajni. Przetworzone. Przerobione. Połączone z rosnącymi w kadziach wodorostami, drożdżami, grzybami i formowane w wióry. To nie był kanibalizm; nie było nic końskiego w twoim posiłku. Nie jedliśmy Nogi Duct Tape. Tak się po prostu miały rzeczy. Żyłeś w Stajni 99, póki nie przestałeś tego robić i po prostu o tym nie myślałeś.

Czytałam epitafia, kiedy koło nich przechodziłam, przez tak długo, jak tylko mogłam. Myślę, że wolałabym popatrzeć w niebo, niż wyobrazić sobie dawno nieżyjące kuce, kiedy spacerowałam przez rozmokłą trawę.

Sama kaplica również widziała lepsze dni. Ewidentnie była parę razy dewastowana, lecz ktoś naprawił ją więcej razy, niż zniszczył, a nawet nałożył na deski warstwę wybielacza. Czułam się jak intruz, wchodząc powoli po schodach. Na podłodze leżały dwa rzędy wyświechtanych poduszek dla zgromadzenia i balkon wzdłuż tylnej ściany. Większość okien była zabita deskami, lecz ktoś zadał sobie trud odnowienia jednego z nich, witrażu. Widniała na nim Celestia unosząca słońce, idealnie pasująca do znaczka Priesta. Obróciłam głowę; nad drzwiami widniał podobny obraz, przedstawiający spokojną i pewną siebie Lunę. Było w tym coś kojącego.

Na ścianach namalowana była szóstka klaczy; panie minister, które widziałam w muzeum. Czas robił co mógł, by zniszczyć malunki, lecz ktoś pieczołowicie je restaurował. Mój wzrok padł na Fluttershy i poczułam przemożną chęć przytulenia kogoś. Rainbow Dash wyglądała na taką, z którą chętnie bym się napiła. Applejack... przypominała mi Mamę. Pinkie Pie zdawała się... odstawać od reszty. Rarity... tja, jakiś kuc wyglądający tak dobrze mi nie pasował. A Twilight? Przypominała mi P-21.

Priest rozmawiał przyciszonym głosem z trzema pielgrzymami. Wyglądali okropnie. Znędzniali. Wycieńczeni. Jedna z nich miała poźółkłe oczy i tik, który przekonał mnie, że wkrótce miała stać się łupieżcą, jeżeli Glory miała rację. Mimo wszystko, nie próbowała odgryźć kopyta Priesta, gdy ten dotknął delikatnie jej czoła.

Parę innych kuców siedziało na pobliskich poduszkach; wyglądali bardziej na "miejscowych". Szara klacz czytająca nędzne piśmidło o księżniczkach. Zamyślona klaczka, spoglądająca na witraż przedstawiający Celestię. Duża jednorożka, od kopyt do głów ubrana w strój żałobnicy. Szeptem modliła się, kołyszając w przód i w tył na swojej poduszce.

Trójka pielgrzymów cofnęła się od Priesta. Płakali, lecz zdawali się być także dziwnie szczęśliwi. – Możecie wrócić, jeżeli tylko chcecie. Nie ma powodu się spieszyć – powiedział im ogier, tym swoim spokojnym głosem. On również płakał... lecz czemu? Mówił, że wielu, wielu pielgrzymów przybywało tutaj. Uznałam, że każdy był dla niego ważny.

– Nie. Już czas. Dziękujemy. Celestia nas chroni – powiedziała cicho klacz z tikiem.

– A Luna otacza nas obroną – odparł Priest, z pewną ostatecznością w głosie, a pielgrzymi zaczęli powoli wychodzić.

– Wiesz – zaczęłam z delikatnym uśmiechem – poprzedniej nocy byłam prawie pewna, że

widziałam Księżniczkę Lunę. Była na moim E.F.Sie i w ogóle... Wariactwo, nie? – Wciąż się uśmiechałam, czego on niestety nie odwzajemniał.

– Nie. Nie widziałaś księżniczki. Jej już nie ma. – Mówił z żelazną pewnością, spoglądając na obraz Luny. Dziwne, spodziewałam się, że będzie bardziej... podekscytowany.

– Wszystko w porządku? – zapytałam delikatnie, gdy już odeszli.

– Nie, lecz to jest cena mojej cnoty. Czasami kucyki po prostu potrzebują kogoś, kto ich wysłucha i powie parę miłych słów. Miałem nadzieję, że przekonam jednego, by został jeszcze parę dni, lecz przybyli razem i razem odejdą. – Wyraźnie nie był z tego zadowolony, lecz nawet ja widziałam, że nie chciał tego okazywać.

– Twoja cnota? – zapytałam, przekrzywiając pytająco głowę. – To po prostu... bycie miłym, nie?

– Zapewne niektórzy mogą tak o tym myśleć – powiedział, patrząc na malunki na ścianach. – Wybacz, jeżeli brzmię odrobinę jak kaznodzieja; taką już mam pracę. – Wziął głęboki oddech. – Wierzę, że każdy kucyk posiada jakąś cnotę. To ta ich część, która jest najczystszy i najbardziej szczerym jestestwem. To jest coś, co sprawia, że kucyki są dobre; prawość, której nikt nie jest w stanie ci odebrać.

Przełknęłam ślinę, czując się dziwnie winna. – Ach... cóż, to proste. Moją cnotą jest upijanie się i wywoływanie wielkich katastrof. – Spróbowałam się uśmiechnąć, ale z jakiegoś powodu moja frywolność uszła ze mnie wraz z tymi słowami. Nabijałam się z czegoś, co wyraźnie było dla niego ważne. Co dziwne, dla mnie też zdawało się być ważne. – Przepraszam.

Obdarzył mnie pełnym cierpliwości uśmiechem. – Kucyki, które znają swoją cnotę, mogą zachować poczucie świadomości. Spotkałaś kiedyś kogoś, kto zdawał się być... razem? Nawet przy okropnościach, które spotykają nas wszystkich?

Bottlecap, Keystone, Bonesaw, nawet Dusty Trails przyszła mi na myśl. – Tak, zdarzyło mi się – odpowiedziałam.

– Kucyki, które znają swoją cnotę i oddadzą się jej, mogą dłużej stawać wobec przeciwności losu. Posiadają wewnętrzną siłę, która wspomaga ich ciało i krew. – Spuścił głowę. – Niestety, cnota nie wystarcza. Potrzebuje czegoś jeszcze.

– Jeszcze? – Świetnie, teraz czułam się naprawdę wybrakowana.

– Przyjaźń. Sama cnota znika nieubłaganie. Pustkowa zatruwają ją, zmieniają w jej mroczne odbicie. Skażona cnota jest rzeczą doprawdy okropną – oświadczył uroczyście, odwracając się, by na mnie spojrzeć. – Przyjaźnie, które wspomagają i dopełniają cnót ich uczestników, wzmacniają ich przeciwko wszelakim wyzwaniom. Przyjaciele, złączeni we wspólnej sprawie, są potężniejsi niż cokolwiek, co może przeciwko nim rzucić Pustkowie.

Przypomniałam sobie, jak się czułam, odkrywając, że jestem sama. – A co z przyjaźniami kucyków, które nie znają swoich cnót?

– Mogą trzymać się razem, lecz zawsze będą waśnie i niezgoda. Nie wyobrażam sobie

przyjaciół, którzy wytrwają długo bez znajomości samych siebie. Jak możesz przyjaźnić się z nieznajomym? – powiedział, wzruszając lekko ramionami.

Byłam w stanie opisać siebie na wiele sposobów, lecz żaden z nich nie zdawał się być szczególnie cnotliwy. Naprawdę wątpiłam, by głupota się liczyła. – Jaka jest twoja cnota? – zapytałam delikatnie.

– Tylko Celestia naprawdę zna mą cnotę – odpowiedział cicho, a z jego twarzy widać było, że więcej nie miał zamiaru mówić. Może nie trzeba było jej znać. Może wystarczyło żyć według niej.

Spojrzałam znów na drzwi za mną. – Mam nadzieję, że twoim pielgrzymi wrócą bezpiecznie do domów.

– Nie wracają do domów – odparł cicho. – Kontynuują swoją pielgrzymkę.

Na moim pyszczku pojawił się grymas. – Do innych kaplic, masz na myśli?

– Do Celestii.

Patrzyłam na niego przez moment, a moje oczy rozszerzyły się, widząc jego smutek.

– Jak mogłeś... – szepnęłam, po czym odwróciłam się i puściłam się biegiem przez drzwi. Spojrzałam na drogę, licząc na jakiś ślad. Myliłam się. Zamiast tego, przeniosłam wzrok w stronę Hoofington. Byli tam, właśnie zaczynając swoją podróż przez most, w kierunku miasta.

– Poczekajcie! – wrzasnęłam, biegnąc najszybciej, jak byłam w stanie ku trójce kucyków. Moja serce waliło mi w piersi, a zniszczony asfalt pękał mi pod kopytami. Pieprzyć moją głowę, musiałam ich ostrzec. Powstrzymać ich! – Poczekajcie! Nie idźcie tam! Stójcie! – krzyczałam, znajdując się już na moście.

Drżąca klaczka z poźółkłymi oczami zatrzymała się, by na mnie spojrzeć. Pozostała dwójka po prostu poszła dalej.

– Proszę! Słodka Celestio, nie! – wrzasnęłam.

Wciąż uśmiechała się, gdy czerwone promienie pomknęły ze szczytu murów i przeszły ich ciała. Energia wirowała, pochłaniając każdy skrawek jej ciała i zmieniając je w popiół. Jasna cholera, jej uśmiech był ostatnią rzeczą, która rozplynęła się w powietrzu.

Przypis: Nowy poziom

Nowa umiejętność: Twardzielka (poziom 2) – brutalne doświadczenia na Equestriańskich Pustkowiach wzmocniły cię. Otrzymujesz +3 do Progu Obrażeń za każdy poziom tej umiejętności.

Przypis: Otwieranie zamków (25)

(Słodka Celestio, nareszcie. Ten rozdział zajął nam zdecydowanie zbyt dużo czasu.

Kiedy kończyłem wydawać “dziesiątkę”, miałem w głowie pewne marzenie: Skończenie Horizons w ciągu dwóch lat, z tempem, jakie ustaliliśmy. Nie uwzględniłem jednak jednego, cholernie ważnego faktu: każda gorączka kiedyś mija. I to było z mojej strony bardzo, bardzo niemądre. Prawdopodobnie przez właśnie ową gorączkę popadliśmy na cały Marzec w stan swego rodzaju stagnacji, niemożności zrobienia czegokolwiek sensownego w sprawie PH. I właśnie dlatego ciągnęło się to grubo ponad dwa miesiące, a rozdział przecież do aż tak długich nie należy.

W każdym razie: Dziękuję serdecznie Kinro Valdisowi, naszemu nowemu korektorowi (to już cztery osoby? Whoa.) za pomoc w przygotowaniu tekstu tak, by był zdatny do czytania (a także lekkiej pomocy przy samym tłumaczeniu). Dziękuję Bodzikowi, który – mimo dość skomplikowanej sytuacji z dostępnością i czasem – coś tam jednak zrobił. Greenowi też dziękuję, ale potem.

Tutaj oddaję głos towarzyszom.)

(Tłumaczenie dwudziestu pięciu stron A4 z Angielskiego na Polski może nie wydaje się zbyt trudne, ale przyznaję, Somber pisze charakterystycznym stylem, robiącym z naszych umiejętności Kartaginę.

Gorączka ta dotknęła także mnie, kiedy dowiedziałem się, że dwa miesiące temu nasz King szukał ludzi do pomocy. Tak się to zaczęło (tak swoją drogą dzięki za ten miesięczny poślizg i zapomnienie o mnie, kingu).

Dziękuję całemu teamowi; udowodniliście, że przy pracy można się dobrze bawić. Może nie jesteśmy tak szybcy jak team Poulsena [8,(3), kingu, 8,(3)], ale staramy się być produktywni!

P.S. Muszę sobie zmienić ten kolor, jest taki oczojebny, że muszę użyć pogrubienia... >:(
)

Oryginał piosenki wraz z linkiem:

[“Oh they shoulda just sent the whiskey
When they saw the trouble coming.
Oh they shoulda just sent the whiskey!”
Then they wouldn’t be a–running.
Times are tough and things are bad
So why be dumb and risky?
When you see the trouble come,
Ya better just send the whiskey!”](#)

[“Now, I hear wine is mighty fine
It makes you feel so frisky!](#)

But trouble's come, so get er done
And don't forget the whiskey!"

"Oh you shoulda just sent the whiskey
When ya heard that trouble's coming
Oh you shoulda just sent the whiskey
Then all this woulda been nothing!"

"Now vodka grows from winter snows
That make you cold and shivery!
But that icy bite just don't feel right
So best send me a whiskey!"

"Oh you shoulda just sent the whiskey
When you knew that I was coming!
Oh you shoulda just sent the whiskey
Then you wouldn't get a thumping!"

"Times are rough and things are bad
But don't you get sad and weepy!
When you know that I'm a coming
Just send me your whiskey!"